




TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

DO CZYTELNIKÓW.



téj porze ogłaszamy corocznie **DWA KONKURSA** wakacyjne dla naszych czytelników: **konkurs robót ręcznych dla dziewcząt** i **opisanie wakacji dla chłopców**. Obecnie ponawiamy niniejszem oba z tą różnicą, że o ile to chłopców dotyczy, żądamy od nich, aby opisując jak spędzili wakacje, powiedzieli zarazem, co im przez czas ich trwania do głowy przybyło.

Wakacje obmyślane zostały przez starszych dla młodzieży niewątpliwie dla tego, żeby umysł strudzony

i zarosłego chwastami — traci sprężystość, czujność, i gdy przyjdzie pora wracać do pracy, zamiast być odświeżonym i wzmocnionym, będzie zleniwiła i osłabła.

Trzeba zatem starać się koniecznie, aby z wakacyjnej nawet swobody korzyść umysłową odnieść. Nie idzie o to aby nie rozstawać się z książkami, ale by szukać nauki wszędzie gdziekolwiek się obracamy; aby nie patrzeć bezmyślnie na to, cokolwiek wzrok nasz uderzy, lecz ze wszystkiego zdawać sobie sprawę. Ci co pojedą na wieś, będą mieli tysiączne ku temu sposobności: z otwartej książki natury wyczytają niemal tyle, ile wyczytali z podręczników szkolnych. Szumiący las powie im, jak z nim gospodarują ludzie; to samo powiedzą im złociście łąny zboża, kwieciste łąki, modre jeziora i rzeki.

Żeby więc młodych czytelników naszych do zastanawiania się pobudzić, ogłaszamy konkurs następujący:

Opisać w jaki sposób kto spędził wakacje i czego się podczas nich nauczył.

Przy sądzeniu wypracowań, kierować się będziemy inną niż dotąd zasadą. Nie ten otrzyma nagrodę kto *najlepiej napisze* wypracowanie, ale z czyjzego utworu zrozumiemy, że *najpożyteczniej czas swój przepędził*.

Pierwszą nagrodę stanowić będzie książka p. t. **Atlas przyrodniczo geograficzny** wydany pod kierunkiem A. Ślósarskiego zawierający 15 dużych tablic, na których obok wyobrażenia wszystkich części świata, mieszczą się wizerunki i nazwy zamieszkujących je ludów, oraz znajdujących się tamże zwierząt i roślin.

całoroczną nauką, mógł znaleźć pożądaną wypoczynek, a odświeżony nowymi wrażeniami na powietrzu i swobodzie, z podwójną energią i zapałem zabrał się do dalszej pracy. Żle jednak rozumiałby potrzebę wypoczynku ten, ktoby mniemał że on polega na bezczynności. Umysł zaniedbany choćby na czas krótki, staje się podobnym do gruntu puszczzonego odłogiem

Dla nowych prenumeratorów, powtarzamy warunki konkursowe, znane już dawniejszym czytelnikom: Wiek kandydatów nie może przechodzić lat 15-tu. Każde wypracowanie oznaczyć trzeba nietylko pseudonym autora lecz dodać imię jego i nazwisko oraz adres dokładny.

Te same prawidła stosują się także do *konkursu robót rącznych*.

Jedźcie więc na wakacje młodzi czytelnicy z dobrą myślą i dobrą wolą: bawcie się wesoło, używajcie swobody, ale to wszystko niech wam nie przeszkadza także uczyć się. Każdy otaczający was przedmiot, niech będzie dla was kartą, którą przeczytać uważajcie za swój obowiązek. Słowa te stosujemy do wszystkich czytelników, tak do chłopców jak i do panienek. Termin nadsyłania zarówno wypracowań jak robót, które następnie rozdawane bywają ubogim dzieciom, oznacza się *do połowy września*. Upraszamy panienki, aby na sukienki wybierały najprostsze materyały, jak barchan kolorowy, perkale i t. p.; pożądane jest też bardzo i szycie koszulek, choćby z grubszego płótna.

Redakcja.

SOBÓTKA.

Ot i zapadł mrok dokoła
Od gór aż do wód;
Głuchy puszczyk z lasu woła
Na kupałę lud.

Wzniósł się smutnie pod niebiosy,
Już gęślarza śpiew;
Na kurhanach płoną stopy
Poświęconych drew.

Młódz znów paproć strzeże w borze:
Dziś zakwitnie kwiat,
A kto go pochwycić może,
Ten posiędzie świat!

Witold Kaszczyński.

POD WPLYWEM BŁOGOSŁAWIENSTWA.

(Dalszy ciąg).

— Sewe! — rzekł pocichu starzec do młodego chłopca, który zazwyczaj grywał drugie skrzypce — ta waryatka Marcha znowu nam chce biedy napytać jak to już nieraz bywało; trzeba dać na nią baczność. Wczoraj czy onegdaj odnosiła list Petöfiowej do syna, ja sam jęj odnieść kazałem; nie wiem gdzie go tak prędko znalazła i czem mu dokuczyła, dosyć że zamiast za list podziękować i dać co za drogę, jeszcze ją obił czy coś podobnego. Marcha obrażona w swojej królewskiej krwi wielkiego Ramy, chce się mścić i własne uniesienie gniewu, bierze za natchnienia duchów, jak to ona ma zwyczaj, i dzisiejszj nocy idzie ogień pod starą czarę podłożyć. oto między ty Marchę na oku, a ja pójdę prosto do Petöfich i czardy pilnować będę. Był do jutra. Jutro starzy gospodarze muszą dom swój opuścić a i Marcha tyczasem ochłonie. Widzę po jęj oczach że niezupełnie jest przytomna. Z pewnością wybierając się na tę wyprawę, musiała połknąć szczyptę swego proszku, przez prababki z Indyi przeniesionego, który jęj zdaniem życie w człowieku zdwaja i do wielkich czynów pobudza.

— Ech — machnął ręką młody Cygan — mnie się zdaje że ten cudowny niby proszek, tylko chwilowo podnieca siły, oduurzając człowieka jednocześnie!

— To bardzo być może Sewe, bo Marcha powiada że jest to ten sam, który używają wdowy indyjskie w chwili gdy na stos wstąpić mają, aby spłonąć wraz ze zwłokami mężów: Otóż pilnujże jęj, a ja do Petöfich pośpieszę.

— No no, bądź spokojny ojczu, postaram się upilnować: ach bieda to z tym naszym cygańskim motłochem, choćby z królewskiej krwi znikczemniałej pochodził, gdy raz upadnie umysłowo nie chce uznawać światła rozumu!

Słowa te dziwne były bardzo w ustach cygana, młody Sewe wymówił je zupełnie w dobrej wierze, był on albowiem blizkim krewnym starca i oba należeli do tęg warstwy królów wodzów i zwierchników, która rzeczywiście wśród cyganów istnieje, i nad tłumem ludu ma władzę i wyższość prawdziwą rozumu i oświaty.

Stary znikł natychmiast w cieniach nocy, dążąc do Petöfiowej gospody, młody poszedł do Marchy wydostającej ze skrzyni drżącemi z pośpiechu rękami bogate węgierskie stroje, w których główni przedstawiciele bandy mieli na jutrzejszym jarmarku wystąpić, a nad któremi dozór należał do obowiązków indyjskiej królowny. Dopóki tem była zajęta, Sewe drzemiąc na wozie, patrzył tylko na nią nieznacznie zdaleka ale gdy skończyła i zabrawszy jakiś tajemniczy zwitek i kij w rękę, miała ruszyć w drogę, przewracając się przez sen spadł z wozu i krzyknął z bólu, snadź się zraniwszy, Marcha przyskoczyła do niego natychmiast; trzymał się za bok i za głowę i jęczał; więc go obejrzała, opatrzyła, trzęsąc się przytem z pośpiechu i na niebo spoglądając co chwila. Narzeczcie ułożyła go spać i znowu zabierała się do odejścia; ale gdy chłopak płacząc schwyił ją za płachtę udając że cierpi okrutnie, Marcha, czy to w istocie zdwojoną w tęg chwili bystrością przeniknęła udanie, czy też w dobrej wierze chcąc ułagodzić ból, zaczęła chłopca ziołami jakimś okadzać, przy czem biedak usnął nagle, zaledwie kilka razy odetchnąwszy tajemniczym dymem. Tak pozbywszy się kłopotu, królowna indyjska co żywo chwyciła przygotowany poprzednio pakunek, owinęła się w swą podartą purpurę i pomknęła chyżo co siły w ciemną noc, śpiesząc spełnić wolę duchów.

W tejszj samj chwili, gdy Marcha wybiegała z cygańskiego obozowiska pod suchym dębem, dwóch podróżnych zajeżdżało do niemieckiej gospody i wszedłszy do izby zażądało wina i chleba.

— Oho, łaskawy pan, znajdzie się tu przecież coś więcj nietylko wino i chleb! — odparł gospodarz usługując im ochoczo.

— Bardzo wątpię — westchnął jeden z panów — odkąd starą Petöfiową czarę nieszczęście dotknęło, przygotowany jestem na głód jadąc tędy.

— Biedni ludziska! Tacy rządni, tacy pracowici i uczciwi, i oto już im koniec ma być jutro!

— Dla czego jutro? — spytał gospodarz mocno zaciękwiony.

— O! nie udawaj Niemcze! Niby to ty nie wiesz że jutro ostateczny termin dla Petöfich, zapłacić i wynosić się z gospody z dobrej woli albo i ruchomości i gospoda zlicytowane będą! — objaśnił go szczerzy Petöfich przyjaciel. Niemiec zarządził.

— Ależ oni w żaden sposób nie mogą zapłacić — mruknął sam do siebie.

— To też gospoda pójdzie z pewnością na licytację, będziesz miał nowego sąsiada!... — odpowiedział gość obojętnie i wszczął z towarzyszem rozmowę o własnych interesach.

— Gretchen! Gretchen! mnie słabo! ja zemdleję!... — jęknął gospodarz wpadając do kuchni, gdzie gospodyni przysmażała gulasz ani raz nie kucnąc pojąć tajemnicy sporządzenia tęg czysto węgierskiej potrawy.—Cyganka przed chwilą wyłudziła odemnie pięćdziesiąt papierków na zadatek, że sama załatwi się ze starą gospodą, a wiedziała dobrze że i bez niej

koniec jutro będzie! Niema tu wielu takich, którzyby do licytacji stawiali, a choćby i był kto, już jabym wołał przepłacić i przy obu karczmach się utrzymać, bo wtedy pewny byłby wielki majątek! Gretchen, Gretchen, po cóż ja dałem pięćdziesiąt tej cygance.

— Siadaj na koń, pogoń za nią, niepodobna żeby daleko odeszła! odbierz pieniądze! — poradziła Gretchen. Fritz skoczył na koń i popędził. Gdzie? Oczywiście w stronę stariej czardy, bo Marcha miała tam prosto iść w celu załatwienia interesu.

* * *

Na widzialnym z dala, półmilowej szerokości gościńcu w puszczy pokrytej miękką bujną murawą, panował ruch znaczny owego wieczoru i nocy, a to z powodu jarmarku mającego się odbywać dnia następnego w mieście najbliższym. Pomiędzy dążącymi ludźmi i wozami, przemykał z szczególniejszym pośpiechem mały wózek, zaprzężony czwórką, która dla pośpiechu kilka razy w drodze zmieniono. To też nawet w puszczy, gdzie wszyscy jeżdżą jakby się ścigali, szalona jazda tego wózka ogólną zwracała uwagę. Woznica zajęty końmi nie zważał na nic więcej, i był podobno nie tujejszy; podróżny w płaszcz owinięty zdawał się nic nie widzieć i nie słyszeć, zajęty ponuremi myślami. Dopiero wpadłszy w okolice bliższe dwóch gospód sąsiadujących teraz z sobą na stepie, ożywił się i nasłuchiwać jął rozmów i gwarów odbywających się na gościńcu, a nawet wywoływać je w przełocie:

— Dobry wieczór! A daleko ztąd do gospody? — spytał tak raz, mijając jakiś mniej lotny wóz.

— Do nowój pół mili, do stariej mila.

— A co tam słyhać?... nowego?... — tu głos pytający zadrżał...

— At jarmark mamy jutro! — odpowiedziano i lotniejszy wózek poleciał dalej.

Podróżny zaczepiał w ten sposób kilka razy nieznanomych, widocznie chcąc się dowiedzieć czegoś, o co jednak wprost wyraźnie nie chciał czy też nie miał odwagi zapytać, zanim wreszcie ktoś z zapytanych odpowiedział:

— Ot licytować mają jutro starą gospodę, Niemiec pewno kupi czardę i sprzęty — Pytający aż płaszczem usta zatulił, tłumiąc okrzyk przerażenia, a tamten dodał:

— Szkoda tych Petöfich, choroba wszystkiemu winna, a teraz choć i na zdrowiu lepiej, to już długi nazbyt cisną.

Szandor, gdyż to on pędził na owym tak szalenie śpieszącym wózku, odetchnął trochę na te ostatnie słowa: przybywał na czas kiedy rodzice żyli jeszcze przynajmniej i byle przebaczyli mu, wszystko jeszcze da się naprawić. Nie pytał już więcej nikogo, bo w obec okropnych przeczuć jakimi natęchnęło go ostatnie spotkanie z Marchą, jej groźby i przepowiednie, to, co prawdopodobnie zastać miał w rodzicielskiej chacie nie było jeszcze najgorszem.

Wieczorne cienie zupełnie już zapadły, a chmury przysłoniły światło gwiazd i księżyca, gdy kazał stanąć ujrząwszy nareszcie starą czardę, raczej oczyma ducha niż ciała. Zeskoczył z wózka i szedł ku domostwu, tam wolniej im bliżej. Serce na przemiany szalało to znów zamierało mu w piersi na wspomnienie okoliczności w jakich poraz ostatni przestępował te progi... Przepadły list matki donosił zapewne o ważnych jakichś wypadkach, bo Petöfiowa nie miała ani czasu ani zwyczaju pisania listów bez koniecznych powodów; cóż więc było w tym ostatnim?... Co teraz powie ojciec?... W szalonym strachu o rodziców, o ich życie przedewszystkiem, pędząc od onegajskiego poranku, Szandor ani pomyślał o tem wszystkiem co jego samego dotyczyło, a co obecnie napełniało go takim wzruszeniem, że dowlóklszy się do progu musiał wesprzeć się o drzwi, prawie bezsilny. W jednym tylko okienku migotało czerwonaświatello w tej gospodzie, niegdyś tak ludnej, gwarniej i wesolej, tak opuszczonej i osamotnionej teraz.

— A więc to ja, nieszczęsny, mojem dziwnem nieposłuszeństwem despotycznej lecz z miłości powstałej woli ojca, ściągnąłem niebłogosławieństwo, chorobę i nieszczęście na tę

rozkoszną chatę?... — spytał sam siebie Szandor półgłosem, chciał spojrzeć przez okno, ale nie mógł ruszyć się z miejsca, nogi ugięły się pod nim, ukląkł na progu uderzając się w pierś z rzewnem łkaniem:

— Moja wina!... moja jest ciężka wina!...

— I odpuść nam nasze winy jako i my odpuszczamy!... — odpowiedział mu w ciemności głos ukochany — bo i ja podobno zgrzeszyłem zbytnią surowością, nie wiedząc że to, co sądziłem w tobie uporem, było natchnieniem z wysokości w najszlachetniejszym z ziemskich celów... a jednak powinienem był poznać ducha twego po pokorze... Oto na tym progu na którym o mało cię nie przekląłem, cofam uroczyście złą myśl moję i odrzekam jej się, a natomiast: w imię Ojca i Syna i Ducha świętego, błogosławię cię synu na spełnienie natchnień twoich zacnych... amen...

Srebrny blask księżyca wypłynąwszy nareszcie z pośród chmur, oblał jasnym światłem Szandora objętego ramionami ojca, tak jak to przed długimi laty cierpień, za szczęśliwych chwil dzieciństwa bywało.

— Chwała Panu na wysokościach a na ziemi pokój ludziom dobrej woli!... — szeptała stojąca za ojcem i synem matka ze łzami w oczach i wzniesionymi w niebo rękami.

W pół godziny później, mała rodzina siedziała przy wspólnej wieczerzy, bo mimo całego wzruszenia, gospodyni, starym jak świat, wszystkich prawdziwych gospodyń zwyczajem, wyobrażała sobie że upragniony gość, głodnym być musi, i zajęła się przedewszystkiem nakarmieniem go, ocierając przytem starannie lzy szczęścia, aby w przyrządzony przepyszny gulasz nie padały, jako weale niepotrzebna doń przyprawa. Mówiąc wszyscy troje na przemiany, zdążyli już opowiedzieć sobie wzajemnie wszystko, czego jeszcze nie wiedzieli. O polkniętym liście, o polepszeniu bytu Szandora i o przyjęciach jakimi lud gościł swego pieśniarza przed kilku dniami w wakacyjnej podróży, a które były tak gracie, że biedak aż obawiał się, aby uczucia zazdrości nie wzbudziły wśród mniej szczerych przyjaciół; o długach rodziców, o chorobie ojca przyczynie niepowodzenia zarówno ważnej jak Niemiec sąsiad; wreszcie o licytacji jutrzejszej.

(d. c. n.)

LIST Z WARSZAWY.

Czerwiec już dobiega końca drodzy czytelnicy każdy z nas cieszy się nadzieją wakacyj, wyjazdu za miasto, to też zanim się z wami na czas dłuższy pożegniam, chcę jeszcze sercu waszemu i pamięci polecić te biedne dzieci, które przychodzą na świat w dusznych izbach suterren, wrastają w ciasnych i ciemnych jak studnia podwórkach, a nieba i pola o tyle tylko zobaczą o ile ofiarność ludzka pozwoli im korzystać z kolonij letnich, corocznie za staraniem d-ra Fritschego urządzanych dla ubogiej dziatwy miejskiej. Co może wytrwale w jednym kierunku działanie to się najlepiej pokazuje ze sprawozdania jakie z ubiegłych lat 9-ciu ogłosił d-r Fritsche. W pierwszym roku istnienia kolonij letnich 1882-im, wysłanych dzieci było tylko 52, w roku zeszyłym z dobrodziejstwa tego korzystało już 417! Rozumiecie łatwo, że na to niemałych środków potrzeba i wpływają też w samej rzeczy znaczne składki tak pieniężne, jak i w naturze, pochodzące od biednych i od bogatych, od dorosłych i od dzieci. Uczennice jednej z pierwszorzędných pensyj złożyły bardzo poważną sumę rs. 90; każda z nich ujęła sobie łakotki, odmówiła jakiejś przyjemności, aby zadość uczynić obowiązkowi bratniej dla biedniejszych pomocy, a nawet jeden chłopak z drukarni, znający już istotną wartość pieniędzy, bo sam na nie zarabia, ofiarował kop. 15 i przyznaje że mnie to niewymownie rozrzewnia, bo sama znam takiego chłopczyka boso chodzącego po mieście i wiem, jakim skarbem byłaby dla niego złotówka! i tamten może nie starszy, a pewno nie wiele bogatszy.

Do ofiarodawców słusznie i tych sprawozdanie zalicza,

którzy bądź to całkiem na swój koszt wzięli dzieci kilkoro, bądź też udzieli im tylko u siebie mieszkania, co już bardzo wielkiem jest dobrodziejstwem. Pieniędzy z roku zeszłego bardzo niewiele na ten rok zostało. Dla tego też odzywam się do was z serdeczną i gorącą prośbą aby pamiętać, kogo na to stać, o koloniach letnich, instytucji tej w całym znaczeniu tego wyrazu dobroczynnej.

Wysłanie ubogich dzieci miejskich na wieś wszędzie zostało uznanem za zbawienne, bo w Szwajcaryi, w Niemczech, w Danii, nie ma prawie miasteczka, żeby nie składano ofiar na rzecz biednych dzieci, które z nastaniem letnich miesięcy rozpraszają się po całym kraju. Tam bowiem takie wycieczki inaczej są urządzone; zamiast wyprawiać po kilkanaścioro dzieci razem pod opieką nadzorcy lub nadzorczynie, umieszcza się ich po dwoje lub troje u pojedynczych wieśniaków, co znacznie umniejsza kosztów. Poznań wysłała w ten sposób parę tysięcy dzieci, a Kopenhaga do 7,000. Ach! gdybym ja miała rodziców, gdzieś blisko pod Warszawą mieszkających, nie dałabym im spokoju, dopóki by mi nie wydzielili jakiejś izdebki, gdzie na świeżem sianem wysłanych tapczanikach nocowałoby parę białych buziaków, opalając się cały dzień na tem słońku, co złoci pszenicę i jabłuszka rumieni tak ślicznie! A ja wtedy, ja, panienka ze dworu, rzuciłabym okiem od czasu do czasu na rozbawionych gości moich i pewno znalazłabym też we wsi jakąś pocziwą kobiecinę, coby się za niewielkie wynagrodzenie nad tymi gośćmi nadzoru podjęła... Tak mi się czasem to wszystko roi w głowie, tak mi się łatwym do wykonania wydaje, że wam ten projekt podsuwam, nieopodal od miast mieszkającym... Może kto spróbuje w czyn go wprowadzić? może mu się to uda pomyślnie?

Nietylko ale ja nawet d-r Fritsche, ma także swoje marzenia, których ziszczenie zależy w znacznej części od dobrej woli ogółu. Kolonie letnie wtedy tylko rozwinąć się mogą należycie, gdy będą posiadały dom własny, w miejscowości niedalekiej od lasu i od kąpieli rzecznej, niezbyt też oddalony od Warszawy, dom z ogrodem, z niezbędnymi potrzebami sprzętami, na początek mieszczący w sobie 25 łóżek, potem zaś, potem... O tem marzy d-r Fritsche, a że grunt pod dom i ogród ofiarowują mu darmo, marzenie zacnego opiekuna biednych dzieci zdaje się blizkiem spełnienia, a budowa domu w tym już roku się rozpocznie. Trzeba jednak, aby do niego każde z nas cegielkę swoją dołożyło, tak cegielka po cegielce, stanąłby dom i nikt już nie miałby prawa pytać z zalem:

„Któż dziecku temu da trochę słońca,
„Pokaże lasy i pola?”

Bo każda z was odpowie: *ja!* ja w miarę możliwości mojej przyczyniłam się do wywiezienia na jasne słońce, pod czyste niebo letnie tej gromadki, co nie dotąd prócz murów kamienia nie zna...

A gdybyście widzieli z jaką radością wyjeżdżają, to i śmiać się chce i płakać... Rycina tu załączona wskaże wam jak się wyjazd odbywa, ale najsłabszego nawet nie da wyobrażenia o wdzięczności, jaka napelnia serca matek, o ciekawości z jaką rwie się „na wieś” ta dziatwa, dla której wieś nieznaną jest krainą, nie tak jak u nas szczęśliwszych, co rok prawie swobody i wypoczynku używających.

Muszę też podzielić się jeszcze z wami wrażeniami z jednolitej wystawy roślin, owoców i kwiatów w Muzeum przemysłu i handlu. Urządziło ją Towarzystwo ogrodnicze zamieniając wielką salę Muzeum w pyszny ogród, pełen takich barw i woni, że mi się przypomniały wszystkie ogrody z bajek w dzieciństwie słyszanych zapamiętane. Na trzech stołach ustawiono kłomby z bratków ciętych, wchodzących w ogrodzie p. Hosera

z róż, truskawek, czereśni, pelargonij i begonij, a wszystko tak z sobą harmonizowało, tak wzajem piękność swoją podnosiło, że nie wiedziałam na co patrzeć i tylko biegałam oczyma po stołach po całej sali ustrojonej w ozdobne rośliny żałując że niema tu „Niezapominajki z nad Warty”, której plantacje zamorskich roślin marnieją. Tu nic nie zmarniało: wszystko było bujne, świeże wspaniale rozkwitłe. Róże pp. Kaczyńskich przechodziły



WYJAZD NA KOLONIE LETNIE.

przez wszystkie różowości i szkarłatu odcienie od mleczno-białych do czarnej prawie aksamitnej purpury. P. Szanior, kierownik Saskiego ogrodu, wystawił obok róż bogaty zbiór najróżnorodniejszych begonij o płamistych, aksamitnych liściach. P. Jankowski olbrzymiej wielkości maki, ogromne liście lewkonij i bratki aksamitne jak zwykle, *czarne*, i kremowe, a jakie tam odcienie liliowe i fioletkowe, to już nawet opisać trudno.

Róże pp. Hoserów Dechl'a i Bardet'a niemniej od tamtych piękne ślicznie ułożone były, miałam ochotę z każdego satunku

wziąć po jednej tylko, żeby złożyć sobie olbrzymi bukiet, ale niewypada! prawda? Miałam też ochotę na czereśnie „Ogrodnika Polskiego”, na truskawki, jednym słowem, gdzie się obróć, wszędzie pokusa! Wasza Gołąbka w okrutnym była kłopotcie! Lubię róże: nie mogę się zdecydować, u którego z naszych panów ogrodników są piękniejsze; lubię bratki: też sama trudność powzięcia decyzji (pp. Smólski i Kamiński z Woli przy-

parę miesięcy, które poza murami Warszawy przepędzi. Nie zapomnicie o niej prawda? O tej, która się z wami wiernie każdym wrażeniem dzieliła, każdego z was kochała serdecznie, i dziś, na dłużej was żegnając, ma nadzieję że z łaski waszej spełni się choć troszkę marzeń i projektów, całym sercem wam oddanej

Gołąbki.

NIEBIESKA POŃCZOSZKA.

KOMEDYJKA W JEDNEJ ODSEŃNIE

przez **Bronisławę Porawską.**

(Dalszy ciąg).

MARTUSIA (*budząc się*). Magdusia, a dajno posładu! (*sposzregając się*). A, dobrze, dobrze, dzieci się ucza, tak to lubię.

WŁODZIO (*z przymileniem*). Martusia spała?

MARTUSIA (*oburzona*). Oj o, spała, co to Włodziovi przychodzi do głowy, ani się nawet zdrzemnęłam.

NIUNIA. Bo tak Martusia sapała.

MARTUSIA. To tak z gorąca (*ziewa i przeciera oczy*). Ani mi w głowie spanie, śpię się o to z pończoszką dla Niuni, bo mama prosiła żeby na niedzielę skończyć, do tej niebieskiej sukienki.

NIUNIA (*pomięszana*). A prawda, ja do tej nowej sukienki nie mam niebieskich pończoszek, mam tylko same czerwone i jakieś tam bure. A Martusia tak ślicznie robi pończoszki.

MARTUSIA (*biorąc kłębek, spostrzega na kolanach zrobioną pończoszkę*). A to co? bierze w ręce to pończochę, to kłębek, oglądając ze zdziwieniem). No, nie myślałam dziś jeszcze skończyć (*kręci głowę*). Patrzcie moi państwo, jak to jakoś prędko poszło.

WŁODZIO. Co Martusia mówi? Czy przez sen?

MARTUSIA (*z gniewem*). Co mi tu Włodzio będzie o spaniu mówił, ja oto prawie całą pończochę zrobiłam, a Włodzio już umie swoje lekcję, co?

WŁODZIO. Kiedy taka trudna, nie mogę spać na żaden sposób.

MARTUSIA. Nie mogę, nie mogę, co to znaczy nie mogę, ale jak komu zbytki w głowie, to nauka nie idzie. Wszystko człowiek może.

WŁODZIO. Toż Martusia przecie siedzi, to słyszy że się ciągle uczymy z Niunią, no niech Martusia powie czy nie? Co?

MARTUSIA (*szukając kolo siebie i w koszyczku*). Zdaje mi się że miałam tu tę pończoszkę co już skończona, i nie mogę jej znaleźć. Dzieci, nie widzieliście pończoszki niebieskiej?

NIUNIA. A leży u Martusi na kolanach.

MARTUSIA. No to ta co skończyłam teraz, ale tamta co była pierw zrobiona.

WŁODZIO. Ja tę tylko widziałem.

NIUNIA. Może Martusia nie przyniosła?

MARTUSIA (*szuka ciągle zsunąwszy okulary na czoło*). Jak mogłam nie przynieść kiedy mi ciągle potrzebna była na miarę, dzieci! możeście gdzie schowały (*n. s.*). Jeszcze mi się to jak żyje nie przytrafiło, żebym kiedy przez sen pończochę robiła, no, to dziwne i tak ślicznie robiłam, ani oczko zgubione, ani pomyłone, to proszę państwa osobliwość, niech to kto potrafi (*głośno*). Może ja i zostawiłam tamtę pończochę w swojej stancy, ale mi się zdaje że ją tu miałam.

WŁODZIO. Może Martusia i zostawiła.

czynili mi jęj niemało swemi bratkami) lubię owoce: jedno piękniejsze od drugich! Raj powiadam wam nie wystawa! (A dodać tu jeszcze muszę, że p. Jankowski, autor znanego wam zapewne dziełka: „Kwiaty mieszkań naszych” jest też specjalistą pomologiem i że kto mieszka na wsi, a ogrodem zajmować się lubi, dużo z jego wskazówek skorzystać może. Co do mnie wolałabym sadzić jabłonie niż pomarańcze i wołę szkarłat róży lub nawet maku od szkarłatów tureckiego pieprzu).

A teraz Gołąbka wasza już odlatuje na czas dłuższy na

NIUNIA. Najprędzej u Martusi została.

MARTUSIA (*zabierając koszyczek z kluczykami*). Moje dzieci, bądźcie tu grzeczne, ja pójdę poszukam tej pończoszki, i wydam podwieczorek, wrócę zaraz, tylko tu nie dokazujcie i uczcie się, aby się nauczyć. Włodzio niech tam sobie powtarza ciągle o tój Ameryce, a Niunia o aniołach, bo p. Aniela może jeszcze i dziś wróci, i znów będzie wstyd.

WŁODZIO. No, no, niech się Martusia nie boi, już my tu będziemy się uczyć, będziemy.

MARTUSIA (*szukając*). Nie wiem gdzie mi się okulary podziały. Niuniu, nie widziałaś ich?

NIUNIA. U Martusi na czole.

MARTUSIA (*zdejmując*). A prawda, są, no to dobrze, uczcie się tu dzieci, uczcie, to powiem mamie, żeście byli grzeczni a i przed p. Aniela pochwałę.

WŁODZIO. Dobrze, dobrze, niech Martusia będzie pewna, że się tu będziemy dobrze sprawować.

MARTUSIA (*wychodząc*). A nie dokazujcie tu, moje dzieci, bo to u Włodzia to zbytków nie kupić, a i Niuni nie brakuje. (*wychodzi*).

Scena II-ga.

WŁODZIO, NIUNIA.

WŁODZIO. Poszła ta marudziarka, już co my się nasłuchamy tych moralów, to chyba już nikt więcej.

NIUNIA (*wzruszając ramionami*). I żeby choć było o co!

WŁODZIO. Najwięcej o te marne lekcye.

NIUNIA. Albo o jakieś tam grzeczności!

WŁODZIO. Człowiek nigdy niema wolnej chwili, albo i ta p. Aniela, ledwie pojechała już wraca, na trzy dni jechać to się i opłaciło!

NIUNIA. A lekcji to mamy zadane tyle, jakby na jakie trzy tygodnie!

WŁODZIO (*przypominając sobie nagle*). A wypracowanie napisałaś?

NIUNIA (*zalamując ręce*). Ach Boże! jeszcze nawet nie zaczęłam.

WŁODZIO. I ja jeszcze nie zacząłem, ale bo też tój geografii to się uczyć i uczyć i uczyć i nie mogę się nauczyć. Nie wiem co mi tam po tój Ameryce, ja tam przecież nie pojadę.

NIUNIA. A ta p. Aniela to wcale nie dobra, bo jak prosiłam ję tak że aż kłękałam przed nią, jak mamę kocham, bo chciałam żeby mi napisała to wypracowanie na konkurs do Wieczorów, to nie, i nie, tylko ciągle mówiła: (*przetrzeźniając*) „Napisz Niuniu sama, a ja ci poprawię”, poprawić to i jabyim potrafiła, wielka mi rzecz, ale napisać to grunt, a tu ani rusz.

WŁODZIO. A Zizio mi mówił, że p. Stanisława napisała całuteńkie wypracowanie, za które dostała nagrodę w szkole.

NIUNIA. I Ania dostała też nagrodę na pensyi, i też mi się przyznała w sekrecie, tylko prosiła żeby nikomu nie powiadać, że i ję p. Stanisława napisała. Oni to mają nauczycielkę dobrą, ale nasza (*wzruszając ramionami*) Boże zmiłuj się, zaraz ci powie moral, o obłudzie, o kłamstwie, e, ktoby tam nawet to wszystko spaamiętał.

WŁODZIO. Ja też jeszcze nie dostałem nagrody ani je-dnej, a kto temu winien?

NIUNIA. Naturalnie że p. Aniela.

WŁODZIO. To nawet dla p. Anieli byłby honor, gdybyśmy dostawali nagrody, a tak to nawet nie wiem, co i myślą o nas.

NIUNIA. Myślą że mamy nauczycielkę, która nas niczego nie nauczyła.

WŁODZIO. Ale my rozmawiamy i rozmawiamy, a tu lekcji nic, wypracowania nic, a w dodatku urządziliśmy psotę Martusi, i jakoś mi się zdaje, że to się źle skończy.

NIUNIA. Nam się zawsze źle kończy, to już na jedno.

WŁODZIO. O czym masz wypracowanie?

NIUNIA. Jakieś cudaczne, nawet nie pamiętam o czym, mam tam zapisane w kajecie. A twoje?

WŁODZIO. Ja? a morduje jeszcze to samo co było zadane, co napiszę, źle! p. Aniela powiada: tu niema myśli, tu, sam nie wiem czego chcesz, to niema sensu, dopiero mówi i mówi dla czego tu niema sensu i myśli, mnie naturalnie znu-dzi się słuchać, no i koniec.

NIUNIA. I znów to samo na następną lekcję.

WŁODZIO (*z westchnieniem*). A znów, bo p. Aniela powiada, że trzeba się porządnie zastanowić, aby się nauczyć myśleć...

NIUNIA (*wzruszając ramionami*). Wielka mi rzecz myśleć, niby to my nie umiemy. A któż za nas wymyślił żeby Martusi spruć pończochę? Może p. Aniela, co?

WŁODZIO. Żeby się p. Anieli nie zechciało dziś wrócić, byłaby dopiero radość, ani jednej lekcji nie umiemy. A na dziś kazała się nauczyć.

NIUNIA. A pocóż mówiła że jutro wróci?

WŁODZIO. Tak było niby mówione, ale nam p. Aniela powiedziała wyraźnie: proszę was bardzo, ażebyście na czwartek umieli wszystkie lekcye, do południa, i żeby wypracowania były napisane.

NIUNIA. No to się zabierajmy do pisania, dopiero... (*spogląda na zegar*) dopiero trzy kwadranse na piątą, jak też to ten czas szybko leci.

WŁODZIO (*nasłuchując*). Jakiś turkot! ktoś jedzie! (*biegnie do okna*) Boże! to p. Aniela!

NIUNIA (*zalamując ręce*). O! ja nieszczęśliwa!

WŁODZIO (*chwytając książkę i czytając drżącym głosem jękając się*). Po odkryciu Ameryki... przez... przez... Krzysztofa Kolumba (*biorąc się za czuprynę*). Ach! ten Kolumb i Kopernik zawsze mi się w głowie pląca.

NIUNIA (*jednocześnie z Włodziem bierze się także do książki*). Co to są aniołowie? Aniołowie są to duchy czyste, nie mające ciała. Na co Pan Bóg stworzył nauczycielki? (*z przerażeniem*). Ach! znów mi się teraz będzie plątało, aniołowie i nauczycielki, to także para! Ale co ja zrobię... o! już idzie! Włodziu!

(*wchodzi p. Aniela*).

Scena III-a.

P. ANIELA, NIUNIA, WŁODZIO.

P. ANIELA. Ach, teraz widzę, dla czego nie wyszliście gdy zajeżdżałam, przy książeczkach, to bardzo pięknie, i cieszy mię to że was tak zastaje.

NIUNIA (*idzie ze spuszczoną głową i chce p. Aniela całować w rękę*). Witam panią, myśleliśmy że pani dopiero jutro przyje-dzie.

P. ANIELA (*cofając rękę pochyla się ku Niuni*). Uściskajże mię Niuniu serdecznie, masz taką minkę, jakbyś nie była rada żeś już wróciła, a mnie tęskno było do was.

WŁODZIO (*całuje p. Aniela w rękę*). Ach i nam, tylko że pani miała jutro przyjechać.

P. ANIELA. Skończyły się te nieznośne interesa wcześniej aniżeli myślałam, wróciłam z p. Lidzką, i uprosiłam ją aby mię dziś odesłała, chociaż koniecznie chciała to odłożyć do jutra. Ale szkoda czasu: czy prawda.

WŁODZIO. O! tak (*n. s.*) to także oszczędność.

NIUNIA (*zagadując*). A mamusi niema w domu, pojechała do Wronowa, bo p. Zatorska przysłała list prosząc mamusię koniecznie.

P. ANIELA. Wiem, tembardziej mnie to cieszy, że was zastaje przy nauce. Ale kochane dzieci, nie traćmy czasu, jeszcze parę godzin uczyć się można, przesłucham zadanych lekcji i pomyślimy o jutrze. (*siada przy stole*). Najpierw, proszę was o wypracowania. Niuniu, jako panience należy się pierwszeństwo, daj mi więc twoje.

NIJONIA. (zakłopotana kręci palce u rąk). Proszę pani, ja właśnie miałam teraz zacząć pisać... bo... bo... pani miała jutro przyjechać.

P. ANIELA (z przyciskiem). Prosiłam jednak, aby wypracowania były napisane na dziś i to przed południem. Czy tak?

WŁODZIO (pomieszany). Tak proszę pani... ale... ale... myśmy się uczyli, a wypracowanie... chcieliśmy dziś napisać... i... i bylibyśmy napisali.

(d. c. n.)

W INDYACH.

(Dalszy ciąg).

Mały nawet na wiek swój, ale barczysty już teraz Edward, nie zdawał się wcale, ani na chwilę zakłopotany żartami ojca i śmiechem rodzeństwa, wiedząc dobrze, że właśnie tylko śmiała a rozsądną przytomnością umysłu może sobie zjednać ich uznanie, jednocześnie oczy błyszczały mu tajoną zaledwo, a niepoohamowaną radością gdy rzekł:

— Jakto? a więc tylko tyle świata jest wiadomo? Czyliż telegrafy nie rozniosły po świecie że i Edwardowa N-r. 2 obdarzyła mię także ślicznem żrebiątkiem?

— Co? Jakto? A więc i twoja klaczka? — zawołano z niesieniem zdumienia. Edward zaś powiódł zwyciężkiem okiem po otaczających i rzekł:

— Tak!... i mam nadzieję, że panna Klara pozwoli mi wyhodować i ułożyć to żrebię na wierzchówkę dla niej jedynie, tak, aby nikt inny prócz niej nie miał zaszczytu go osiąść?...

Klarze nie pozostawało nic innego jak tylko uściskać braci raz jeszcze.

— A śniadanie dla nas i dla domowników? gosposiu małeńka? Czyś go dopilnowała? Bo bez twego oka, cóż z nami się stanie? — spytał ojciec.

— Pomyślałam o wszystkim — zaręczyła żywo — dwa stoły w wielkiej sali przy kuchni dla domowników, jeden na ośm osób dla nas w zwykłej jadalni: po mojej prawej stronie sam pan Thorn, po lewej najstarszy z jego synów Wiliam... Robert i Franek siedzieć będą obok Jerzego i Edwarda, ty ojcusiu z panem Thorn'em na pierwszym miejscu musicie być obok siebie koniecznie, jak zawsze, pójdźcie zobaczyć czy dobrze tak, i czy dobrze kwiaty ustawiłam w jadalni... Ach, oto Thorn'y już są!...

Wistocie p. Thorn z trzema synami zajechawszy nieopstrzeżenie małeńkim powozikiem o dwóch dzielnych koniach, wszedł teraz do salonu.

I w tej rodzinie, acz daleko dawniej osiedloniej w Indjach, matka znękana prócz osobistych trudów, troską o wszystkich ukochanych, uległa pierwszej zabójczym dla świeżo przybyłych cudzoziemców warunkom klimatu i otoczenia. Kto wie czy nie ta właśnie wspólność jednakięj złej doli, wywołała w obu rodzinach uczucia ściślejszych niż pospolite stosunków przyjaźni; wspólność interesów i bliższe poznanie pozwalając ocenić się wzajemnie, dokonały reszty.

Thorn ojciec, starzec białowłosy i trochę już pochylony, raczej skutkiem pracy i trudów niż wieku, miał twarz mocno pociemniałą pod działaniem promieni zwrotnikowego słońca; uściskał Klarę i złożył jej życzenia, prawie w tychże słowach co rodzony ojciec przed chwilą. Wiliam dwudziestodwuletni jasnowłosy i niebieskooki mrukił trochę o potężnych rozmiarach Anglik z krwi i kości, był już dziś poniekąd bez poprzedniej umowy zastępcą ojca w obec firmy i innych spraw ważniejszych, i wszyscy bez szemrania uchylali się przed władzą o której prawach rozum stanowił.

Pani podano do stołu! — rzekł wkrótce służący Mahorra, Indyjanin, roztwierając drzwi wiodące do dalszych pokoi. Wiliam podał rękę Klarze i wszyscy poszli do sali jadalnej, przechodząc przez wielką salę stojący u dwóch stołów bie-

siadnicy przywitali Klarę huczynym toastem. Odpowiedziała im kilku serdecznemi słowy podzięk. Oprócz urzędników z kantoru, wszyscy słudzy otrzymali także w tym dniu podarki. Ogromne okna przepelnionej kwiatami jadalni, rozwarte były szeroko na kwiciste, ozłoczone słońcem trawniki ogrodowe, ocienione olbrzymami świata roślinnego, ozdobione smukłemi palmami, ożywione tysiącami śpiewającego na zabój, barwnego ptactwa. Uczta była zarówno wykwiłtna jak obfita i wesola. A jednak, pomimo wszelkich pozorów odświeżonej radości, p. Thorn zaledwo usunęła się służba, z głuchem westchnieniem, zniżając głos wspomniął o rozruchach miejscowych, o buncie sipahów to jest żołnierzy krajowców, skierowanym przeciw Europejczykom w Indjach osiadłym, przeciw Angielsko-Indyjskiej kompanii mianowicie.

— Czyliż odniesione nad sipahami zwycięstwa będą dostateczne do ich pokosromienia? Czy można nie lękać się już wznowienia buntu?...

— Wątpię, i nie wstydzę się wyznać, że drzę... — szepnął Mac'Ulm, spoglądając na młodzież zajętą żywą gawędą, do której Wiliam udawał że należy, słuchając jednocześnie pilnie rozmowy dwóch starych przyjaciół.

— O!... — odparł Thorn wpół żartem — może też indyjskie czaszki wyburzą się, wykipią gniewem i uspokoją wreszcie; w ostatnim razie ty nie masz czego lękać się dla twoich dzieci gdyż sipahowie poprzysięgają zemstę tylko nam, Anglikom.

— Przeczę temu najmocniej, pewny jestem, że Indyanie wcale nas nie rozróżniają, albo raczej że uznają wrogiem każdego, kto nie jest z ich własnej krwi i kości. Mylisz się jeżeli wistocie sądzisz że o swą narodowość się upominają; wcale nie, nam grozi coś daleko gorszego, zaciekle wojna religijna natchniona przez zapaleńców fakirów i braminów, wojna na śmierć!

— Przesadzasz bracie...

— Czy pamiętasz przeszłoroczne wzburzenie krajowców, przy zajęciu królestwa Oude, przez wojska Jój królewskiej mości, królowej Wielkobrytańskiej? Wszak ty sam wówczas utrzymywałeś że to nieprzelewki...

— Ależ to już wszystko minęło.

— Okoliczności tylko niektóre minęły, ustępując miejsca innym, ogólne wzburzenie trwa ciągle.

— Umysły są może nawet bardziej podniecone niż kiedy — rzekł Wiliam — a to z powodu, że stara jakaś przepowiednia naznacza ostateczną zagładę panowania angielskiego na rok „setny” jego trwania, a ten właśnie teraz przypada.

— Ah, a więc ty Wiljamie zapatrujesz się tak samo jak i ja na tę sprawę?... — rzekł p. Mac'Ulm.

— Na nieszczęście nie mogę inaczej; i bądź pan pewnym, że mój ojciec zapatruje się na nią tak samo. Udaje on wprawdzie iż jest pełen otuchy, ale udaje tak tylko z zasady, że rozsiewać popłoch dookoła nie pomoże sprawie, i że wszelka przedczesna troska zatruwa obecną chwilę! Kompanja Wschodnio-Indyjska popelniała przez sto lat różne nadużycia względem krajowców, a teraz oby nie nadeszła chwila odwetu, który jak zwykle w podobnych dziejowych przewrotach, spaść może, za winy poprzedników, na ich mniej winnych następców i prawników.

— Ależ moje dziecko nie przypisuj mi tak smutnych poglądów!

— Przepraszam cię mój ojczy, wiem że doskonale oceniasz ważność obecnej chwili. Wiesz i ty dobrze jakie wzburzenie panuje między krajowcami, zwłaszcza od nieszczęsnej chwili rozdania wojsku nowych ładunków, posmarowanych tłustością wieprzową...

— No tak... nieszczęśliwy też pomysł miał zarząd z tem zaprowadzeniem karabinów nowego systemu, w wojsku złożonem z sipahów...

— Ładunki do tych karabinów muszą być smarowane tłuszczem wieprzowym, które to zwierzę uważane jest przez Hindusów jako nieczyste. Tymczasem pułkownik Besch, gardząc wyobrażeniami religijnemi swych podwładnych, rozdał im owe

SZARADA.

ułożyła M. P. dla czytelników Wieczorów.

Pierwsze, między literami
 Drugie, tu jest między nami.
 Trzecie wzywa do milczenia,
 Niekorzystnie postać zmienia,
 Druga trzecia, gdy zbyteczna,
 Pierwsza trzecia, pożyteczna,
 Służę bowiem do jedzenia,
 Wszystko nadmiar jest cierpienia.

ŁAMIGŁÓWKA GŁOSKOWA.

Gospodarz dla Skowronka.

Wyrazów 14-cie: wa—ton—ko—tlik—bo—łów—ce—el
 —ir—po—e—ba—o—ri—li—oj—nie—wój—pah—bes—ryk
 —tu—i—ja—no—nan—świe—lan—le—me—sem—o—dy—
 Znaczenie wyrazów: 1. Roślina. 2. Wyspa w Europie. 3. Je-
 zioro w poł. Rosyi. 4. Owad. 5. Jedna z rzeczy ostatecznych.
 6. Głowa rodziny. 7. Miasto w Szwajcaryi. 8. Miasto i kla-
 sztor pamiętne traktatem historycznym. 9. Owoc. 10. Rzeka
 w Ameryce. 11. Część ciała. 12. Wyspa w Azji. 13. Imię
 męzkie. 14. Spójnik.

Końcowe i początkowe litery czytane od góry do dołu
 utworzą imię i nazwisko poety i tytuł jego utworu.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 24-go.

Niteczki Aryadny:

Matka troskliwa i miła
 Na łonie miała swe dziecię
 Nucąc mu mile, tuliła
 Jedyne skarby na świecie.

* * *

„Matko dla czego te dzwony?
 Tak smutno księża śpiewają...”
 — „Nie bój się mój ulubiony,
 Ktoś umarł chować go mają.”

* * *

„Jak to, on umarł, o mamó?”
 — „Na długie zasnął on spanie”.
 „Będzie i ze mną toż samo?
 — „Nie będzie moje kochanie”.

K. Brodziński.

Łamigłówniki geograficznój:

1. Raguza. 2. Orlean. 3. Trent. 4. Tomaszów. 5. Epernay
 (Eperne). 6. Wezer. 7. Dieppe (Diepp). 8. Antiwari. 9. Malta.
 Rotterdam — Antwerpia.

ładunki nie wspominając nic o wieprzowym tłuszczu... W tym
 błędzie jest przyczyna nieszczęścia, gdyż to właśnie służy dzi-
 siaj za pozór przywódzcom buntu, do podburzania tłumów
 w imię znieważonej religi, przeciw angielskiemu zarządowi,
 który ich zdaniem zmusza lud do popełniania zbrodni święto-
 kradztwa.

— Tak, to wszystko prawda; z początku jednakże cicho
 było przez czas niejaki, i właśnie w moich oczach rozpoczęły się
 rozruchy. Używając chwili wytchnienia siedziałem w cieniu
 drzew w pobliżu arsenału, spoglądając obojętnie na oddział
 żołnierzy jedzących wieczerzę o kilka kroków odemnie: nagle
 powstała między nimi głośna kłótnia, żołnierz należący z rodu
 do kasty braminów łajał gwałtownie, z dumą właściwą tej
 kście kolegę swego, należącego snadź do niższej, iż śmiał pić
 z jego kubka. Na co, napastowany odparł:

— Wielka mi rzecz że pożyczylem na chwilę twego
 kubka: wieprz jest chyba jeszcze bardziej nieczystym niż ja
 stworzeniem, a ty i wy wszyscy codziennie przecież macie do
 czynienia z wieprzowym tłuszczem na ładunkach...

Bramin zerwał się z miejsca na te słowa i pobiegł do
 arsenału... w kwadrans wypadł napowrót z głośnym krzykiem
 i z rozpaczą potwierdził towarzyszom straszliwe odkrycie. Na-
 tychmiast wszczął się rozruch, żołnierze ze wszystkich stron
 zbiegli się do spokojnie przed chwilą wieczerzających towa-
 rzyszy. Wśród dzikich okrzyków przeciw Anglikom, chwycono
 za broń, tak że coprędzej uchodzić z tamąd musiałem. Taki
 był początek obecnego stanu rzeczy.

— No, ależ przecie rząd zobowiązał się następnie usunąć
 ładunki nieszczęsne i nie używać więcej podobnych, co za-
 łagodziło sprawę.

— Z pozorów; nie ufajmy temu. Tajemnicze jakieś oso-
 bistości zjawiają się nieledwie codziennie po miastach, wsiach
 i willach, niby żebrząc czy pytając o kogoś, a w rzeczywistości,
 pewien jestem, porozumiewając się z otaczającymi nas krajo-
 wcami, z naszą własną służbą może. Ci ludzie powiadam wam,
 te posły tajemne, to są fakiry!... to są ci wespół święci fanatycy
 tutejsi, pustelnicy indyjscy, widzę to wypisane na ich wychu-
 dzonych postami twarzach, na wyschłych od dzikich dobro-
 wolnych męczeństw ciałach, widzę w płonących religijnym za-
 pałem żrenicach, zapalem objawiającym się obecnie jako nie-
 nawiść dla wszystkiego co obce, zapalem którego hasłem jest:
 śmierć Anglikom!... Wyznaję, że patrząc na to czego inni
 zdają się nie widzieć... i drzę!

— Ależ to są ostatecznie jedynie tylko domysły i po-
 dejrzenia pańskie! — rzekła Klara, zauważywszy mimo we-
 sołego udziału w rozmowie młodszych biesiadników, półgło-
 sną rozmowę starszych.

— Tak pani sądzisz?... Oby tak było. Ale wypytaj zre-
 cznie a ostrożnie służących twoich, najzyczliwszych tobie, takie-
 go Mahorry, lub Solimana może... wypytaj, a dowiesz się, jeżeli
 Mahorra jest szczerze wiernym, dowiesz się tego, czego ja wła-
 snemi dopatruję oczami. Niekiedy, widzę że sipah jakis obcy
 zjawia się pod lada pozorem w miejscowości, w której kwate-
 ruje wojsko, i oddaje najstarszemu z oficerów krajowców...
 kwiatek lotosu. Oficer przypatrzwszy się kwiatkowi, w mil-
 czeniu oddaje go najbliższemu stopniem koledze; ten tak samo
 podaje go trzeciemu i tak z ręki do ręki prosty ten kwiatek,
 a wistocie tajemnicze godło przejdzie przez wszystkie ręce, aż
 do ostatniego sipaha prostego żołnierza w oddziale. Ale nie
 wiesz pani może czem jest lotos u tutejszych Indyan?... mo-
 gę zapewnić że jest to kwiat poświęcony bóstwom pomsty...

(d. c. n.)

TREŚĆ: Do czytelników (od Redakcyi). — Pod wpływem błogosławieństwa (c. d.) — List z Warszawy (z drzew.) — Niebieska poń-
 czoszka, komedyjka w jednej odsłonie, p. Bronisławę Porawską. — W Indyach. — Łamigłówniki i rozwiązania. Dodatek: Kraby
 czyli pająki morskie (z drzew.) — Zawstydzona Zosia (z drzew.) — Różia i Różyczka, wiersz. — Noc świętojańska. — Łami-
 główniki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Szesnastoletni wojewoda, powieść p. Michalinę Zielińską.

Kraby czyli pająki morskie.



Dziwaczną powierzchownością odznacza się pewien gatunek krabów, mających na pancerzu plamy i centki, które przedstawiają podobieństwo do rysunku twarzy ludzkiej.

Kierując się instynktem, kraby umieją za-

bezpieczyć swe mieszkanie przed napadem wroga. Pewien gatunek krabów lądowych urządza sobie w piasku kryjówkę, zatykając wejście do niej kleszczami; tym sposobem tworzą się jakby żyjące drzwi, które chwytają i wciągają do środka każdego nieproszonego gościa.

A nietylko umieją one urządzić sobie mieszkanie, ale przywiązują się doń tak jak wiele zwierząt wyższych i rozumniejszych. W Szkocyi gdzie połów krabów jest bardzo rozpowszechniony, rybacy znaczą je kreskami na pancerzach i wysyłają do większych miast. Zdarzyło się raz, że łódź wioząca kraby ze Szkocyi do Londynu rozbiła się, z czego naturalnie biedni więźniowie nieomieszkali skorzystać aby uciec do wody. Ale w kilka dni potem na brzegach Szkocyi złowiono znowu część tych znaczonych krabów, które przebywszy przestrzeń wynoszącą kilkanaście mil angielskich, powróciły do dawnych mieszkań.

Kraby przyczyniają się do oczyszczania wód morskich, pożerając drobne żyjątka żywe lub martwe, ale nawzajem same padają często ofiarą żarłocznych ryb.

ZAWSTYDZONA ZOSIA.

Była raz jedna bardzo dobra ciocia; opiekowała się trojgiem dzieci, których matka na kilka miesięcy za granicę wyjechała. Ta ciocia nie tylko dni całe spędzała z Pawełkiem, Rózią i Zosią, nietylko chodziła z nimi na spacer, opowiadała im różne ciekawe rzeczy i uczyła ich parę godzin dziennie, ale nawet często w nocy nie dospała, gdy które z dzieci kaszlało trochę lub sen miało niespokojny.



Otóż raz właśnie zdarzyło się, że Pawełek, który zapewne na podwieczorek zjadł za dużo owoców, w nocy

użalał się na boleści i kochana ta cioteczka nie spała wcale, tylko ciepłe mu kładła kompresy.

Nazajutrz Pawełek czuł się lepiej; mógł ubrać się i bawić z siostrami, ale za to ciocia czuła się bardzo zmęczona i poleciwszy dzieciom, żeby się grzecznie i cicho bawiły, położyła się w drugim pokoju.

— Pamiętajcie, dzieci kochane, że ja mam sen lekki i zaraz się budzę, gdyby tu które, broń Boże, upadło lub sprzeczać się zaczęło.

— Śpij spokojnie ciociu! zobaczysz, jak się cicho zachowywać będziemy — zapewniały dzieci i wzięły się do zabawy.

Pawełek układał w jedną całość, rozrzucone po stole, powycinane w różne kształty części Europy. Rózia ubierała swoją lalkę, Zosi zaś dano ulubioną jej książeczkę z dużymi obrazkami, z życia zwierzęcego; dostawała ją rzadko, bo książka to była kosztowna, a Zosia nie bardzo starannie obchodzić się z nią umiała. Ale dziś dzieciom szło głównie o to, żeby małą siostrzyczkę zabawić bez hałasu. Nie na długo się to jednak przydało.

— Róziu — zawołała nagle Zosia, swoim piskliwym głosikiem — czy ta małpka nie spadnie z wysokiego drzewa; patrz! ogonkiem tylko okręciła się wokół gałęzi!

— Cicho, cicho Zosiu! Ciocię obudzisz, później co zechcesz, wytłomaczę ci, ale teraz bądź cicho.

— Ach prawda — szepnęła Zosia i znowu cichutko i spokojnie przewracać kartki zaczęła. Nagle spojrzawszy w okno:

— Patrzcie, jak Burek biegnie do stajni — krzyknęła — jak szczeka na źrebiątko. Ach biedne! Pawełku! on je w nogę ugryzie!

— Ależ Zosiu, siedź cicho — wołała na wpół już z płaczem Rózia. — Niedobra jesteś; ztąd widzę, jak się ciocia na łóżku gwałtownie poruszyła.

I znow przez parę minut trwało milczenie, wtem Zosia spostrzegła, że kawałek łamigłówki, którą Pawełek układał, leży pod stołem. Chcąc go podnieść, odsunęła szybko o d stołu krzesło, na którym siedziała; krzesło przewróciło się z wielkim hałasem, a że przytem mocno Zosię w główkę uderzyło, zaczęła głośno płakać. Ale nie wiele na płacz miała czasu, bo nim zmiarkowała co się dzieje, Pawełek chwycił ją rączką i wyprowadził za drzwi, do małego zamkniętego ogródka. Stało się to tak szybko, że zaledwie Rózia miała czas włożyć jej mały kapelusik na głowę.

Zosia zawstydzona, widząc się samą i słysząc, że drzwi przed nią od pokoju zamknięto, spuściła smutnie główkę i z paluszkami w buzi rozmyślać zaczęła nad tem, jak to brzydko nie umieć ani na chwilę wstrzymać się od hałaśliwej zabawy i jak to przykro pokutować za to w samotności.

RÓZIA I RÓZYCZKA.

RÓZIA.

Prześliczna różyczko biała,
Chętniebym cię posiadała;
Ale czuję jakąś trwogę,
Czy cię z krzaka zerwać mogę,
Czy twój kolec nie ukole?
Więc cię spytać o to wolę...

RÓZYCZKA.

Tego ja nie mogę wiedzieć;
Jednak muszę ci powiedzieć.
Dziewczyneczko moja droga,
Że wszystkim zda się przestroga,
Którą anioł daje z nieba:
Ostrożność zachować trzeba!...

NOC ŚWIĘTOJAŃSKA.

— Stasiu, nie śpisz?

— Nie, albo co? Czy już czas?

— Już wpół do dwunastej wybiło w pokoju tatusia.

— Oo, to wstawajmy, trzeba się nawet pośpieszyć,
żeby nie było zapóźno...

Te zdania wymówione szeptem zamieniono w ciemnym pokoiku chłopców, małym pokoiku wychodzącym na ogród, przez którego niedomknięte okno wpadało wilgotne, pachnące powietrze nocy czerwcowej i zaglądał ciekawy księżyc.

Potem głosy ucichły, natomiast dał się słyszeć szmer i szelest jaki słychać przy wstawaniu i ubieraniu, pomimo usiłowania sprawiać się jak można najciszej, aż wreszcie zabrzmiał znów szept jeden.

— Ciekawym czy też Hela przyjdzie?

— Ee, może zaśni i zapomni... — odparł drugi.

— Wątpię, choć coprawda lepiejby było, będzie nam tylko przeszkadzała...

— No tak, ale przynajmniej jak ją zabierzemy to potem nie wypaple i nikt się o niczem nie dowie...

Znów nastąpiła cisza przerywana tylko szelestem wciąganego ubrania, kiedy cichutko drzwi poruszyły się w głębi, i do pokoju, ostrożnie, wsunęła się mała postać.

— Aa, Hela — odezwały się oba szepty — jesteś? Nikt cię nie widział!

— Nikt a nikt, panna Berta śpi, i sapie jak miech kowalski, a przez pokój mamy przesłam boso. — Nikt nie słyszał. Czy już idziemy?...

— Zaraz, zaraz, jeszcze tylko rewolwer znajdę... Aa, już go mam. No, ruszajmy, tylko baczność! Ja idę naprzód, za mną, i jaknajciszej!...

Niedomknięte okno rozтворzyło się całkiem i przy świetle księżycy widać było trzy cienie, które po niskim murze zsunęły się na drugą stronę, do ogrodu. Skoro stanęły obok siebie na jasnej ścieżce, można już było rozpoznać w nich z łatwością dwóch chłopców i dziewczyn-

kę. Postali chwilę, szepcząc coś do siebie, poczem na paluszkach ruszyli ku alei i za chwilę znikli w głębokich ciemnościach.

Te trzy cienie byli to Staś, Zygmus i Helenka, którzy w wigilią św. Jana szli do lasu szukać kwiatu paproci, owego cudownego kwiatu, który, jak opiewają dawne polskie baśni, prócz niezliczonych skarbów, ma przynosić ludziom długie życie, szczęście i bogactwo... Ach Boże! Wiele oni nocy już przemarzyli o tym kwiecie, wiele planów naukładali, jak cieszyli się samą myślą wynalezienia i osiągnięcia wraz z tem małym świetlanem ziarenkiem, wszystkich swych pragnień!... Staś i Zygmus, dwaj stryjeczni bracia, którzy będąc kolegami najczęściej wszystkie chwile wolne od nauk szkolnych razem spędzali, pielęgnowali bowiem jedną upartą myśl w swych dwunastoletnich główkach drugoklasistów. Myśl ta, od roku była powodem że w dzienniczkach były same piątki, a na półkach między szkolnymi książkami plątało się mnóstwo opisów, podróży po Ameryce i jej cudach. Ameryka była ich marzeniem, w planach zatem układanych na przyszłość, było jak najprędzej kończyć szkoły, poczem obaj mieli wyruszyć do tej krajiny złota szukać tam bogactwa i wrażeń w roli europejskich squarterów *).

— Ach! co to za szczęście — opowiadali sobie nieraz, marząc wspólnie o tych rozkosznych planach, takie plantacye, naprzykład w Luizjanie! Posiadać tam całe obszary ziemi, w nich lasy dziewicze pełne dzikich zwierząt, owadów, i podzwrotnikowych zarośli, wody, stepy... Co za szczęście! Tam od świtu będziemy już na koniach objeżdżając swoje posiadłości... A obławy i polowania na węże i drapieżne zwierzęta! a błędzenie wśród ljanów dziewiczego lasu! a pożar stepu lub wylew rzeki, jakież to cudne a zarazem pełne grozy widoki!... O! tam to życie, przygody, szczęście!...

I myślą przebiegali te wszystkie opisy, które sprostawały zawrót w ich młodych główkach a jakich nie brak w Robinsonie meksykańskim, Dzieciach kapitana Granta, i całym zbiorku ich małej „biblioteczki dla młodocianego wieku” którą co rok z własnych oszczędności wzbogacali kilkoma tomami ulubionych podróży.

Ale pomimo to, na podróż do Ameryki i zakupienie tam plantacyi potrzeba pieniędzy, i właśnie wiedząc o tem Staś i Zygmus, łamali sobie głowy zkądby ich tu wydostać. Rodzice, nie byli w stanie zaopatrzyć ich na drogę takim majątkiem, nie będąc dość bogatymi, zresztą niema nic gorszego jak liczyć na czyjąś pomoc, sami zapracować nie mogli tyle w tak krótkim czasie. Co tu robić? co robić?... powtarzali z rozpaczą.

Aż jednemu pewnego razu przyszła myśl, świetna, niezrównana.

— A noc świętojańska, a kwiat paproci! — wykrzyknął.

Prawda! że też dotąd nie pomyśleli o tem! Wprawdzie kwiatu paproci dostać niełatwo. Rośnie on w najgłębszym lesie wśród największych zarośli i idąc go szukać trzeba być bardzo odważnym, bo przez drogę „nieczysta siła” straszy okropnie, jak mówi stary owczarz,

*) Squarter, osadnik,

który się zna na tem dobrze i nieraz będąc młodym chodził już na paproć. Ale cóż to wszystko znaczy wobec tych skarbow które tam można znaleźć!... I odtąd z niespokojnością oczekiwali nadejścia wakacyi, czerwca i wigilii św. Jana, by coprędzej wyruszyć na tę bajeczną wyprawę po szczęście i złoto, które podobnie jak plantacye w Luizjanie zaciekawiała ich swoją tajemniczością, wabiła obietnicą i wystawiała na pierwszą próbę ich męstwo tak niezbędne w dalekich podróżach i przy zajęciu osadnika.

Długo czekali, aż wreszcie nadszedł ów dzień upragniony.

Trzeba było wielkiej ostrożności żeby się nie wydać z sekretu, to też nawet z obawy żeby czasem nie zdradziła ich planów, obiecali zabrać ze sobą dziesięcioletnią siostrzyczkę Stasia, Helę, która również niezmiernie była ciekawą cudownego kwiatu paproci.

Okoliczności układały się jakoś przyjaźnie. Ojciec Stasia wyjechał za interesami na parę dni do miasta, a z mamą i nauczycielką panną Bertą, nie było oczywiście nic trudnego, skoro nawet Hela załatwiła się tak zręcznie, że niepostrzeżona dostała się do pokoju chłopców. Wszystko zdawało się iść jak z płatka. Staś z łatwością wynalazł w pokoju tatusia jego rewolwer, który na wszelki wypadek zabrali ze sobą, szczęśliwie wydostali się przez okno do ogrodu i z bijącym sercem znikli w lipowej alei.

Droga do lasu była niedługa i prowadziła zrazu pośród krzewów ogrodu, potem gościńcem wśród zboża aż nakoniec niķła krętą ścieżyną między dębami, brzoźami i choiną starąj dąbrowy.

Noc była ciepła, wonna. Jaśminy i akacye w ogrodzie zlewające się z zapachem macierzanki i skoszonej świeżo trawy na łąkach, napełniały spokojne powietrze duszącym mdłym zapachem, i w tej uroczystej ciszy czerwcowej nocy słychać było prócz skrzypienia kroków na żwirowej uliczce, przyspieszone niespokojne bicie trzech serduszek. Ukryte w krzakach bżowych, śpiewały słowiki, zielone żabki skrzeczały zawzięcie z pomocą krzykliwych świerszczów w trawie, a na horyzoncie rozdierała od czasu do czasu ciemno-szafirowe niebo jasność złocistój błyskawicy.

Nasza trójka posuwała się szybko naprzód. Znaniemi ścieżkami skracali sobie drogę przez ogród i niedługo stanęli przy furtce, była zamknięta, przeszli więc przez płot i znaleźli się na drodze.

Dotychczas nic do siebie nie powiedzieli. Jakaś niewytłómaczona trwoga ich przejmowała i teraz dopiero na szerokim, jasnym od blasku księżycy gościńcu, Helenka tuląc się do Stasia szepnęła:

— Stasiu, jak tu strasznie i pustol...

— Otóż macie włóczyć się z dziewczętami — zawołał Zygmusł niecierpliwie, choć i jemu na widok tēj pustej białej drogi zrobiło się jakoś przykro, — przeczuwaliśmy ze Stasiem że się będziesz bała. Lepiejby było gdybyś zamiast chodzić z nami, siedziła w domu...

— O nie, nie — przerwała dziewczynka, w obawie by jēj jeszcze nie zostawiono. Już się nic nie boję... chodźmy.

Ruszyli. Droga wiła się pomiędzy łanami zboża po których lekki wiatr przechodził falą szeleszczącą, z odalanej wsi w dolinie dochodziło psów szczekanie, w powietrzu robiło się dziwnie ponuro, a niebo na zachodzie przybierało złowrogą stalową barwę.

(d. c. n.)

Zagadka rebusowa.

Po jakiej literze, litera Osłodeg w strapieniu zawiera?

Łamigłówką geograficzną.

ułożyła Polna róża dla Trusi.

Zastąpić kropki literami aby czytane od góry do dołu utworzyły: 1. Nazwa kraju. 2. Miasto we Włoszech 3. i 4. Mniejsza i większa rzeka u nas. 5. Państwo w Azji. Stolica kraju w Europie.

.
.
T R U S I A
.
.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 24-go.

Szarady:

N e a p o l .

ŁamigłóWKi:

P A R A
A D A M
R A C A
A M A N

Skrzynka do listów.

Droga Srebrna Muszko, mogliśmy się pomylić w sądzie o twoim liście; musiały być wszakże jakieś do tego powody. Miła nam jest i radość twoja i obietnica korespondowania z nami. Wypracowanie nie było złe, ale nie dopełniłaś warunków konkursu, nie wymieniwszy lat, i dla tego uczyniliśmy tylko wzmiankę, że wypracowanie nadeszło.

Za taką samą obietnicę dziękujemy Balladynie. Bardzo to dobrze, że „nikt nie chciał pomóc” i w podobnych razach zawsze tak być powinno. Nie żądamy i nie spodziewamy się arcydzieł; najmiłsza jest nam zawsze rzecz samoistnie wypracowana.

9-cio letni Biały Królik zamiast jak to czynią podobne mu stworzonka, ogryzać młode pędy, dobrze rozwiązał nitczkę Aryadny.

Droga Wiewióreczko inflantska jaknajchętniej zawsze odpowiadamy, ale nie wszystko powiedzieć mogą. Redakcyja ma swoje plany, których się trzyma, zarówno jak i kolei. Temu przypisać zapewne należy niewydrukowanie liściku do G. z P. Szkoda, żeś

się spóźniła z odpowiedzią na zadanie konkursowe! nigdy chyba nie nadeszło ich tyle...

Odpowiadam, odpowiadam, **Psońtico** i zawsze bardzo jestem rada, gdy się od której z was, siostrzyczki dowiem, że już mnie pokochała. Dorobek to mój, którym się pysznię i cieszę.

Gwiazdko Jerozolimska tak rzadko odzywasz się teraz, a taką mi zawsze przyjemność sprawiają twoje listy myśli i uczucia pełne. Projekt twój i mnie się podoba; pomówię z redakcją, ale... nie wiem!

Różowa Jutrzenko o konkursie dowiesz się od Redakcyi, której zamiarów uprzedzać mi nie przystoi. Zresztą, o cóż ci chodzi: masz już ogłoszony konkurs nowy! Możesz zostać laureatką.

Droga **Stokrotko z nad Pilicy**, przysłany mi przez ciebie opis złym nie jest, ale „dobra pani” słusznie powiada, że pierwój trzeba dużo pisać dla siebie nim się zaczniesz pisać dla innych.

Wiedenko z żywoptotu, przeczytaj to, co piszę do Różowej Jutrzenki. Dla czegożby konkurs nie miał być „prawdziwym”? Wszystkie przecie lubimy kwiaty, każda może więc opisać swój ulubiony.

Cicha Wodo jakże jestem szczęśliwą, że list mój, zachęcający do składek na kolonje letnie, wpłynął na twoją decyzję. Ale nie tyle to list mój sprawił, ile własne twoje poczciwe serduszko przemówiło za biedną dziatwą, w imieniu której dziękuję.

W swoim zaś własnem dziękuję tobie, **Topolko z nad Kode-my** za pochwały, któremi może zbyt hojnie dla mnie szafujesz. Nie położyłam jeszcze zasług; całą moją zasługą jest to, że was kocham gorąco!

Dla tego też, **Niezapominajko z nad Warty** „nie nudzą” mnie listy wasze *nigdy!* Po co ci moja fotografia, lub wiadomość, jak mi na imię, skoro i tak wiesz, że przyjaciółkę masz we mnie? Mamy nawet wspólne upodobania i zabawy, bo ja także hodować i zasuszać kwiaty lubię. Spróbuj drugiego sposobu zasuszania, o którym się dowiesz z naszego Pisemka. Dla czego ci usechł chleb świętojański? widziałam trzyletni ślicznie rosnący, a „klimat nasz” nic temu winien, że kanarki lubią zawsze skubać każdą zieleń.

Czyniąc zadość życzeniu **Jutrzenki**, pierwszej, która ten pseudonym przybrała, proszę wszystkie jej imienniczki, aby dla uniknienia pomyłek zechciały dodać do „Jutrzenki” jakieś określenie. **Różową** już mamy. Przypominam też tym, które jeszcze nie nadesłały nazwisk swoich obok pseudonimów, że je o to usilnie prosimy, dla tego właśnie by wszelkiego zamieszania uniknąć.

Biedna Mgłto, ile też przeszłaś zmartwienia! dziwiłam się że od tak dawna listu od ciebie niebyło. **Muszkę brzęcząca** pozdrawiam serdecznie i zadość jej życzeniu uczynię. Czy często zdarza jej się brzęczeć nad owym pysznym orzechem włoskim, co w ogrodzie apteki rośnie?

Niezajoma, miło mi zabrać z tobą znajomość; tem miliej, że choć niedługo zostaniesz staruszką, nie chorujesz jednak na powagę. Od razu dobrej o tobie nabrałam opinii, wiedząc, że się powstrzymałaś od wyjawienia pseudonimu. Przykro mi było dowiedzieć się co złego, o której z siostrzyczek moich.

Bardzo to dobrze, żeś się poprawiła **Wesoła Krakowianko**. Polecenie twoje, by „dobrą panią ucałować”, spełnię z jak największą przyjemnością.

Polce z nad Szczary uściskiem płacę za uścisk, z wami zaś drogie, **Brzózko** i **Śmieszko**, podzielałam uroczystą radość, jakiej pełne musiały być serce wasze. Wielkie to święto życia!

Moja droga **Maryno z pod Garwolina** tybys się widzę „babuńcią” powinna nazywać; list twój wielką mi sprawił przyjemność, a opisałaś mi siebie tak, że cię prawie mam przed oczyma. Możesz wątpić o tem, że kochającą i wierną siostrę znajdziesz we mnie? Nie wiem czy nią jestem, lecz wiem, że szczerze nią być pragnie dla was wszystkich drogie czytelniczki **Wieczorów**, sercem wam oddana

Goląbka.

Kochany Sobolu **Irkutski!** List twój sprawił mi wielką przyjemność. Jeżeli chcesz będziemy często pisywać do siebie. Ja najwięcej lubię słuchać czytania i opowiadania; lubię także jeździć konno. Donieś ile masz lat, gdzie się uczysz, jak ci na imię i czy masz rodzeństwo? Proszę cię odpowiedz mi jaknajrychlej, bo chciałbym cię poznać bliżej. Twój *Skanderberg.*

Kochana **Błyskawico!** Dziękuję ci nawzajem za list i łami-główkę, donoszę zarazem, że mam lat 14, na imię mi **Wacława**, mieszkam w **Warcie**, mam tylko starszą siostrę, uczę się w domu. Donieś mi gdzie się uczysz i mieszkasz? **Topolka z nad Kode-my** czemu do mnie nie piszesz? miljon całusów od *Niezapominajki z nad Warty.*

Kochana **Myszko biała!** Nazywam się **Dziunia** mieszkam nad **Zbruczem**, mam lat dziewięć i starszą o cztery lata siostrę **Złotą Przędę**. Pseudonym mój, obrałam sobie dla tego, że skrzeczeć umiem jak żaba. Całuję cię *Żabka z Podola.*

Kochana **Jaskółko z nad Sekwany!** Chciałabym do ciebie pisywać przez **Wieczory**. Czy przystajesz na to? odpisz *Leśnej Konwalii.*

Drogi: **Mgłto** i **leśna Konwalijo!** Zdaje mi się **Mgłto**, że dawniej miałaś pseudonym **Czarniej Perełki?** Napisz proszę cię **leśna Konwaljo**, jak się nazywasz i wiele masz lat? Czy ci się podobał jak mnie „**Wieczorek w Zalesiu?**” Całuję was serdecznie, wasza *Aksamitka.*

Droga **Łezko z nad Łydyni!** Mam lat 12-cie, nazywam się **Marya** i mieszkam o 3 mile od **Warszawy**, uczę się w domu razem z siostrą. A ty gdzie mieszkasz i jak się nazywasz? Odpisz proszę cię, kochającą *Ułance.*

Sympatyczna **Iskierko!** Rada jestem bardzo z twego liściku, gdyż znam cię już z opowiadania p. **Anny**. Przesyłam ci wraz z **Córą Mazurów** serdeczne uściśnienia. Nie omieszka do **Kłoska** się odezwać, tymczasem zaś prosi, aby go ucałować. P. **Annę** pozdrów od nas serdecznie. *Rosiczka z nad Rowu.*

Drogi korespondentki! Już blisko rok jak pisuję do **Wieczorów**, a do mnie nikt nie pisał. Mam tyle lat co **wesoła Krakowianka**, której odezwa do was otrzymała pożądaną skutek, na imię mi także **Anielcia** i mam też 4 starsze siostrzyczki **M. J. Z. W.** i tyluż braciszków. Mieszkam we wsi, którą dawniej nawiedzali **Tatarzy** i gdzie często znajduje się broń starodawna lub kości ludzkie. Niedawno odkopali całego kościotrupa z piką żelazną. Całuję was wszystkie z kolei, *Wierzba płacząca ze Żmudzi.*

Kochana **Biedronko Warszawska!** Znam cię, nazywasz się **Zosia**, nazwisko twoje zaczyna się od litery **L.**, masz jedną siostrę, a dwóch braci. Zgadnij, kto jestem. *Oleńka z pod Ojcowa.*

Kochana **Sosno poleska!** Pierwsza odzywam się do ciebie. Wiem że mieszkasz na **Polesiu** w mieście **O.** przy babci i ciociach; uczysz się z **Piszczalką** z nad **Ussy**, której pseudonym pochodzi od cieniokiego głosiku. Nazywasz się **Ew. O.**, a **Piszczalka Klar. B.** Nieprawdaż? Ściskam cię serdecznie wraz z **Piszczalką** i proszę odpisz *Komecie.*

Kochana **Mimozo!** Dziękuję ci za objaśnienie kto jest **Radomianka** i **Gloksynia**, ale kto ty jesteś? **Mamusia** myśli, że twoje nazwisko zaczyna się od litery **S.** mieszkasz w **N.** Czy zgadłyśmy? Tobie kochana **Radomianko** i **Gloksynio** załączam uściśnienia, wiem coś o was np. o zniknięciu gruszek z **koszyczka...** A tobie kochana **Malinko z nad Poru** dziękuję za pamięć bardzo dla mnie miłą i ściskam cię serdecznie. *Mgła.*

NA KOLONJE LETNIE ZŁOZYLI:

Dwie siostry **Sikorki** rs. 1. — **Jaskółka z nad Dunaju** 2 mark. pr. — **Różowa Jutrzenka** kop. 25. — **Stefanja D.** kop. 50. — **Maryna z pod Garwolina** kop. 50. — **Cicha Woda** rs. 1. — **Marya Szcz.** 1 mark. pr. — **Biruta** rs. 1. — **Prawda** kop. 50.